

Jędrzej Napieralski

UNIWERSYTET IM. ADAMA MICKIEWICZA W POZNANIU

Europa skończona?

SPECYFIKA PYTAŃ O SCHYLKOWOŚĆ, tudzież szeroko rozumiany „koniec” Scywilizacji, sprowadza się do tego, iż pojawiają się one dopiero w fazie jej największego rozkwitu. Przedtem nikt nie zaprzęta sobie głowy wyszukiwaniem słabych stron czy braków, bowiem wszyscy zaangażowani są w pomnażanie sukcesów i przyspieszanie wzrostu gospodarczego. Dopiero po osiągnięciu naprawdę znaczącego poziomu rozwoju, przychodzi czas na defetyzm i piętnowanie słabości. Paradoksalnie zatem, coraz częściej pojawiające się wątpliwości, co do możliwości, potencjału i znaczenia roli Europy w świecie, są de facto potwierdzeniem jej sukcesu. Gdyby Europa nie była istotna, nikt przecież nie zwracałby uwagi na jej problemy.

Na początku trzeba również zaznaczyć, że Europa jest dzisiaj jednoznacznie utożsamiana z Unią Europejską i nie sposób odejść od takiego modelu myślenia. Jest to na tyle uzasadnione członkostwem w Unii praktycznie wszystkich znaczących państw europejskich, że niewskazane jest różnicowanie interesów „europejskich” i tych właściwych „Unii Europejskiej”, gdyż można zaryzykować twierdzenie, że są one praktycznie tożsame. W związku z tym, analizując potencjalne słabości Europy, będę czynił to przez pryzmat UE, jako faktycznej reminiscencji wartości europejskich.

Fundamentalnym zagadnieniem jest próba rozstrzygnięcia, czy obecnie panujące w świecie tendencje doprowadzą do rzeczywistej marginalizacji Europy, czy też jednak nie przyczynią się do zrewidowania zajmowanej przez nią pozycji w świecie. Odpowiedzi na to pytanie może dostarczyć analiza potencjalnych słabości Europy zaklasyfikowanych do czterech kategorii. Owe „cztery deficyty” to: deficyt gospodarczy, deficyt polityczny/przywódcztwa, deficyt bezpieczeństwa/militarny i deficyt ideologii.

DEFICYT GOSPODARCZY

KWESTIE GOSPODARCZE przedstawiają się nienajlepiej. Rzecz jasna, przyczyny tego stanu rzeczy można sprowadzić do destrukcyjnego wpływu

kryzysu światowego. Rzeczywiście, w 2009 roku PKB Unii zmniejszyło się o 4%, a liczba bezrobotnych w okresie marzec 2008 – grudzień 2009 wzrosła o kolejne 7 mln, dochodząc do poziomu 23 mln¹. Pytaniem jest jednak, jak przedstawiałaby się sytuacja, gdyby do kryzysu nie doszło?

Głównym założeniem przyjętej w marcu 2000 roku strategii lizbońskiej było sprawienie, aby Unia Europejska stała się na przestrzeni dziesięciu lat najbardziej konkurencyjną i dynamicznie rozwijającą się na świecie gospodarką opartą na wiedzy. Jednocześnie miała ona zapewnić zrównoważony wzrost, lepsze miejsca pracy oraz większą spójność społeczną, a to wszystko przy poszanowaniu środowiska naturalnego. Dwoma podstawowymi celami stały się zmiany w strukturze zatrudnienia oraz w obrębie badań i innowacji. W pierwszym zakresie zakładano podniesienie ogólnej stopy zatrudnienia z 61% do 70% w 2010 roku, w tym zatrudnienia kobiet z 51% do 60% i osób starszych (55 – 64 lata) do 50%. Natomiast w zakresie badań i innowacji zakładano zwiększenie wydatków na te cele do 3% PKB w 2010 roku (z czego dwie trzecie miały być finansowane przez biznes). Poza tym, postulowano także osiągnięcie wskaźnika 22% udziału energii elektrycznej uzyskiwanej ze źródeł odnawialnych w ogólnym zużyciu (również do 2010) oraz zredukowanie liczby osób zagrożonych ubóstwem².

W roku 2010 założenia te okazały się być jednak raczej mrzonką niż realistycznie sformułowanymi postulatami. Stopa zatrudnienia w 2008 roku osiągnęła poziom jedynie 66%, a w trzecim kwartale 2009 roku spadła jeszcze poniżej 65%. Jeszcze gorzej przedstawia się kwestia zwiększenia nakładów na badania i innowacje. Marginalny, praktycznie niezauważalny wzrost z 1,82% w 2000 do 1,9% w 2008 roku, jest daleki od zakładanego poziomu 3% PKB. Nie można przy tym zrzucać całej odpowiedzialności na kryzys gospodarczy, ponieważ już w trakcie przeglądu śródkresowego w 2005 roku było jasne, że założenia strategii nie zostaną zrealizowane³.

Pojawia się jednak pytanie: czy mimo tych ewidentnych słabości gospodarczych można zaryzykować stwierdzenie, że Europa nie stoi na przegranej pozycji? Odpowiedzią na takie pytanie jest tzw. „europejski model społeczny”, który we wzorcowym ujęciu można scharakteryzować jako gospodarkę zorientowaną na człowieka. Próba od-

¹ *Europe 2020. Background Information for the Informal European Council*, 11 February 2010, s. 5 – 6.

² J. Hausner, *Zarządzanie publiczne*, Warszawa 2008, s. 341 – 342.

³ *Dokument roboczy służb Komisji. Ocena strategii lizbońskiej*, 2 lutego 2010, s. 4.

zwierciedlenia wartości właściwych dla europejskiego modelu społeczno-gospodarczego jest hierarchia priorytetów Unii Europejskiej na następną dekadę przyjęta w postaci strategii „UE 2020”. Przedstawiony projekt zakłada:

- wzrost oparty na wiedzy i informacji (stworzenie przestrzeni wiedzy i umożliwienie swobodnego jej przepływu jako „piątej swobody”):
 - edukacja (zapobieganie przedwczesnemu zakończeniu edukacji, zwiększenie liczby młodych ludzi z wyższym wykształceniem);
 - innowacje (bardziej atrakcyjne ramy prawne dla innowacji i kreatywności, system ochrony własności praw intelektualnych umożliwiający komercjalizację innowacji);
 - społeczeństwo cyfrowe (europejska agenda cyfrowa);
- społeczeństwo integracyjne o wysokiej stopie zatrudnienia:
 - zatrudnienie (model elastycznego rynku pracy i bezpieczeństwa socjalnego – *flexicurity*);
 - kwalifikacje (kształcenie ustawiczne, uniknięcie długotrwałego bezrobocia, mobilność w pracy);
 - walka z ubóstwem i wykluczeniem (systemy zabezpieczenia socjalnego, systemy emerytalne dostosowane do zmian w strukturze demograficznej);
 - samozatrudnienie (realistyczna alternatywa dla osób tracących pracę);
- wzrost pro-ekologiczny (konkurencyjna i zrównoważona gospodarka):
 - zapobieganie zmianom klimatu (obniżanie emisji szkodliwych gazów);
 - energia (bardziej efektywne wykorzystanie zasobów, tworzenie wewnętrznego rynku energii);
 - konkurencyjność (polityka przemysłowa w erze globalizacji)⁴.

Projekt „UE 2020” wydaje się stanowić próbę zdefiniowania priorytetów w gospodarce i zarazem obrania własnej ścieżki rozwoju, niekoniecznie tej samej co szybko rozwijające się kraje BRIC (Brazylia, Rosja, Indie, Chiny), silnie inwestujące w industrializację i wydobycie surowców. Jest to jak najbardziej zrozumiałe, zważywszy na zupełnie inną strukturę gospodarczą UE. W tym kontekście również chy-

⁴ Dokument roboczy służb Komisji. Konsultacje dotyczące przyszłej strategii „UE 2020”, 24 listopada 2009.

bione byłoby porównywanie wskaźników wzrostu PKB Europy z wartościami właściwymi dla krajów BRIC czy azjatyckich tygrysów. Zupełnie inny jest pułap, z którego te państwa musiały rozpoczynać reformy gospodarcze i inne są ich aspiracje. Europejskiego modelu społecznego nie można też porównać z modelem gospodarczym Stanów Zjednoczonych, który zasadza się na zupełnie innych wartościach. Właściwy dla USA kult indywidualnego sukcesu nie jest tam powiązany z wartościami ogólnospołecznymi, tak podkreślanymi w modelu europejskim. Bogactwo to cel osobisty, jakość życia musi być celem zbiorowym⁵.

DEFICYT POLITYCZNY/PRZYWÓDZTWA

CHCĄC WŁAŚCIWIE ZROZUMIEĆ znaczenie roli *przywództwa* na obszarze europejskim, należy rozpatrywać ten aspekt w kontekście uwarunkowań globalnych. Specyfika Unii Europejskiej jako aktora na arenie międzynarodowej polega na zróżnicowaniu podmiotów politycznych wchodzących w jej skład, co w konsekwencji grozi fragmentaryzacją potencjału UE. Efekt ten ulega spotęgowaniu jeżeli dokonamy porównania ze strukturą przywództwa charakterystyczną dla pozostałych najważniejszych „graczy” na scenie światowej.

Można podać kilka przykładów. Prezydent Stanów Zjednoczonych, który w kwestiach polityki wewnętrznej może co prawda spotkać się oporem Kongresu czy Senatu, ale już na polu kształtowania polityki zagranicznej uznawany jest za niekwestionowanego lidera. Rzecz jasna, nie jest on w stanie wszystkiego przeforsować (o czym przekonał się swego czasu prezydent Wilson w kwestii wstąpienia USA do Ligi Narodów), ale z globalnego punktu widzenia nie można mieć wątpliwości, kto jest przywódcą. Podobnie przedstawia się pozycja lidera w Rosji, gdzie jednak mniej istotna jest sprawowana funkcja, a bardziej liczą się kwestie personalne. Współczesna Rosja jest de facto rządzona przez Władimira Putina – niezależnie od tego, czy zajmuje on stanowisko prezydenta, czy premiera. Natomiast w przypadku ChRL, chociaż pozycja rzeczywistych decydentów niknie gdzieś w meandrach struktury Komitetu Centralnego KPCh, bardzo wątpliwe jest, aby na arenie pojawiły się dwa rozbieżne ze sobą oficjalne stanowiska ChRL. Realizowana jest w ten sposób ważna przesłanka efektywnego przywództwa, którą stanowi jednorodność ośrodka decyzyjnego.

Inaczej przedstawia się kwestia przywództwa w Europie, gdzie – jak miał ponoć powiedzieć Kissinger – „nigdy nie wiadomo, do kogo

⁵ J. Żakowski, *Koniec*, Warszawa 2006, s. 207.

zadzwońić.” Zróźnicowanie potencjalnych pretendentów do pozycji europejskiego lidera jest zdeterminowane silnym oddziaływaniem czynnika narodowościowego. Przywódcy państw UE roszczą sobie prawo do prymatu w Europie nie dlatego, że najlepiej swoim działaniem realizują ideę *europejskości*, lecz dlatego, że reprezentują Francję, Niemcy czy Włochy. Istnieje w związku z tym pewna ciekawa zależność pomiędzy ambicjami przywódców poszczególnych państw europejskich do odgrywania roli lidera, a postrzeganiem ich pozycji na arenie międzynarodowej. Sprowadzić ją można do schematu: im większa tendencja do odgrywania roli lidera europejskiego, tym większa skłonność do działania w imię partykularnych interesów własnego państwa. Przejawia się ona w różnych aspektach i sytuacjach. Przykładem może być Nicolas Sarkozy, lansujący ideę Partnerstwa dla Śródziemnomorza jako nowego paradygmatu w stosunkach UE z krajami Maghrebu, a w istocie działający w imieniu Francji, najbardziej zainteresowanej intensyfikacją tego rodzaju kontaktów, czy chociażby Gerhard Schröder, jednający UE z Rosją i zapewniający pewne dostawy gazu dla Europy (a potem zasiadający w radzie nadzorczej Nord Stream), bądź też Tony Blair, który wsparł krucjatę Geорга W. Busha w Iraku w imię trwałości euroatlantyckiego sojuszu.

Symptomatyczna jest zatem łatwość, z jaką USA, Rosja czy ChRL, potrafią rozgrywać dla własnych interesów najważniejsze państwa europejskie, jeżeli tylko zdołają ubrać ich przywódców w szaty lidera europejskiego. Słabość polityczna Unii Europejskiej jako całości (a przyjęliśmy, że stanowi ona strukturę najbardziej adekwatną przy rozpatrywaniu roli Europy w świecie) została jednak dostrzeżona. Jednakże w tak oryginalnym tworze politycznym jak Unia Europejska wypracowano równie skomplikowany model zmiany jej struktury – mianowicie traktaty, które w procedurze ich zmiany/przyjęcia tworzą nowy kontekst organizacyjno-polityczny funkcjonowania Unii. W interesującym nas okresie – drugiej połowy pierwszej dekady XX wieku – swoistym „leitmotivem” w Unii Europejskiej były zawirowania związane z przyjęciem Traktatu Lizbońskiego.

Na wstępie rozpatrywania zagadnienia związanego z Traktatem Lizbońskim trzeba zaznaczyć, że proces ratyfikacji TL jest symbolicznym przykładem kwestii, która wzbudzała emocje niewspółmierne do swojego rzeczywistego znaczenia. Zamieszanie, które się wytworzyło po porażce referendum w Irlandii w czerwcu 2008 roku, uczyniło z Lizbony swoiste „unijne Westerplatte” (posługując się bliską nam historycznie terminologią) – sprawę o nie tyle znaczeniu strategicznym,

co symbolicznym. Traktat Lizboński bowiem, jawiący się jako jedyne możliwe remedium na groźbę swoistej implozji instytucjonalnej UE, wydaje się być nieco przeceniany. Nie z tej przyczyny, że groźba takiej implozji nam nie grozi, lecz dlatego, że stopień zbiurokratyzowania osiągnął już taki poziom, że niewiele można teraz w tym zakresie zmienić. Paradoksalnie jednak, właśnie dzięki temu, że stan przesyceńcia biurokratycznego już się dokonał, możemy przekonać się, że mimo wszystko do niczego zatrważającego nie doszło. Owszem, proces decyzyjny jest czasochłonny i skomplikowany, a orzecznictwo ETS wyabstrahowuje z traktatów coraz to nowe zasady, o których pół wieku temu żaden Monnet czy Schumann nawet by nie pomyśleli, ale mimo wszystko Unia wciąż funkcjonuje.

Natomiast w najbardziej nas interesującym zagadnieniu *przywództwa* Traktat Lizboński wprowadza, wydawałoby się, dość rewolucyjne jak na UE zmiany. Ustanowienie stanowiska Przewodniczącego Rady Europejskiej⁶ oraz Wysokiego Przedstawiciela Unii do spraw zagranicznych i polityki bezpieczeństwa⁷ (będącego zarazem wiceprzewodniczącym Komisji) sprawiało wrażenie poważnej konsolidacji polityki zagranicznej Unii Europejskiej na skalę wcześniej niespotykaną. Jednakże potoczne nazewnictwo tych funkcji, jako „prezydenta” i „ministra spraw zagranicznych” Unii Europejskiej jest bardzo dalekie od rzeczywistego wymiaru ich kompetencji. Zmiany te mają bowiem charakter raczej porządkujący, a zakres przewidzianych możliwych kompetencji ma stanowić uzupełnienie, a nie zastąpienie działań dyplomatycznych poszczególnych państw członkowskich.

Jednakże niezależnie od zapisów traktatowych trzeba pamiętać, że bardzo duże znaczenie ma wciąż praktyka działań pierwszej osoby powołanej na nowo stworzone stanowisko. Umiejętne „wydzieranie kompetencji” może doprowadzić do sytuacji, w której rzeczywiste znaczenie danego stanowiska jest dalece większe niż wynikałoby to z zapisów formalnych. Dlatego – jeszcze zanim Traktat Lizboński wszedł w życie – trwały spekulacje nad personalną obsadą stanowiska „twarczy Europy”⁸. Wymieniano w tym kontekście Tony’ego Blaira (bezrobotnego po ustąpieniu z fotela premiera Wielkiej Brytanii), Felipe’a Gonzaleza (byłego premiera Hiszpanii, potem także szefa grupy refleksyjnej, zastanawiającej się nad przyszłością Unii) czy Angelę Merkel

⁶ Art. 18 pkt 1 Traktatu o...

⁷ *Casting na szefa Europy*, Newsweek, nr 27/2009.

⁸ J. Żakowski, *Koniec...*, op. cit., s. 115.

(w sytuacji, gdyby nie powiodłyby się jej wybory z września 2009, co było jednak raczej mało prawdopodobne). Abstrahując od oceny realnych szans niektórych z tych propozycji, trzeba podkreślić, że wspólnym pierwiastkiem dla wszystkich potencjalnych kandydatów była cechująca ich rozpoznawalność, wsparta doświadczeniem na arenie międzynarodowej.

Szefowie państw unijnych na szczycie z 19 listopada 2009 roku dokonali jednak *nieambitnego wyboru* i powierzyli funkcję Stałego Przewodniczącego Hermanowi Van Rompuyowi, zaś szefową unijnej dyplomacji uczynili Catherine Ashton. Znamienne jest, że w szeregu prasowych publikacji dominował krytyczny ton, a nowo wybranych funkcjonariuszy unijnych okrzyknięto *Panem i Panią Nikt* (co należy tłumaczyć faktem, że byli oni rozpoznawalni co najwyżej we własnych krajach). Jednak czy permanentna krytyka takich nominacji jest uzasadniona? Czy rzeczywiście doszło do *zdrady Lizbony* i zaprzepaszczona została szansa na wzmocnienie roli Unii Europejskiej w świecie?

Wydaje się, że tak mocno krytyczne głosy są nieuzasadnione z dwóch przyczyn. Po pierwsze, o czym już wspominałem, fetyszyzowanie znaczenia Lizbony jest cokolwiek nieuzasadnione, bo i bez niej Unia egzystowałaby, może tylko w bardziej anachronicznym wymiarze funkcjonalnym. Nieproporcjonalne były też oczekiwania związane z nowymi stanowiskami. Szumne nazywanie ich „prezydentem i ministrem spraw zagranicznych Unii Europejskiej” było niewłaściwe, zważywszy na zakres pojęciowy, z jakim związane są te funkcje w wymiarze polityk krajowych. Skonfrontowanie takich asocjacji z rzeczywistymi kompetencjami właściwymi tym stanowiskom, zrodziło tym samym dość poważny dysonans.

Jednocześnie trzeba zastanowić się nad krytyką personalnego wyboru, którego dokonano. W istocie ani Herman Van Rompuy, ani Catherine Ashton nie są postaciami szerzej znanymi, a ich kompetencje do sprawowania tak eksponowanych stanowisk rodzą pewne wątpliwości. Zatem trudno oczekiwać, ażeby zdecydowali się prowadzić politykę zorientowaną na „wrywanie dla siebie kompetencji”. Jednak warto zastanowić się, czy wybór silnych osobowości politycznych byłby w danym momencie właściwy? Zważywszy na uwarunkowania globalne, rozpoznawalny silny przedstawiciel całej Wspólnoty byłby z pewnością bardziej zrozumiały dla świata (nie byłoby przynajmniej wątpliwości, do kogo dzwonić). Jednakże po raz kolejny trzeba zwrócić uwagę na szczególną specyfikę Unii Europejskiej. UE po prostu nie chce i nie potrzebuje obecnie silnego przywódcy z prostej przyczyny

– bo nie jest federacją. Wybór dokonany przez szefów państw europejskich nie był zatem przypadkowy. Takie rozstrzygnięcie jest bezpośrednią konsekwencją zamiaru utrzymania polityki zagranicznej na torach państw narodowych. Paradoksalnie więc, takim wyborem Unia pokazała swoją siłę (trzeba pamiętać, że nawet samego wyboru dokonano stosunkowo szybko, zatem obyło się bez przeciągających się sporów). Każde większe państwo europejskie zdaje sobie bowiem sprawę, że prowadząc swoją politykę zagraniczną, może zawsze odwołać się do argumentu członkostwa w Unii Europejskiej, który nie jest na arenie międzynarodowej bez znaczenia. Dlatego, mimo że Unia jest politycznie niespójna i podzielona w zakresie polityki zagranicznej, jest na świecie wciąż silna swoim potencjałem – tym, czym mogłaby się stać, gdyby tylko przywódcy europejscy spróbowali rozwinąć jej polityczne możliwości.

DEFICYT BEZPIECZEŃSTWA/MILITARNY

PRZEDE WSZYSTKIM konieczne jest wprowadzenie rozróżnienia dwóch aspektów: psychicznego stanu *poczucia bezpieczeństwa*, który uzależniony jest od subiektywnych odczuć mieszkańców Europy, i *efektywnego stanu bezpieczeństwa militarnego*, pojmowanego jako próba subiektywizowanej oceny poziomu zorganizowania sił militarnych w relacji do pozostałych aktorów areny międzynarodowej. Chociaż są to różne zjawiska, ich zakresy pojęciowe mogą się pokrywać i wzajemnie na siebie oddziaływać, zatem uzasadnione jest jednoczesne ich rozpatrywanie.

„Ryzyko powstało wraz z nowoczesnością”⁹. Nie powinien dziwić zatem fakt, że obszar europejski, stanowiący awangardę trendów modernistycznych czy następnie postmodernistycznych, stanowi przestrzeń tak podatną na procesy związane z poczuciem zagrożenia *ryzykiem*. Subiektywne poczucie zagrożenia cechuje się jednocześnie częstym oderwaniem od realnych niebezpieczeństw. Ryzyko staje się więc potencjalnym zagrożeniem i to właśnie ten stan niepewności rodzi lęk. Natomiast we współczesnym świecie najczęstszym źródłem tego lęku jest niewątpliwie terroryzm.

Celem ataków z 11 września były Stany Zjednoczone, nie Europa. Trzeba o tym pamiętać, zwłaszcza wtedy, gdy podnoszony jest argument, iż terroryzm jest walką ze Światem Zachodu (do którego Europa z pewnością się zalicza). Jednak tego typu uogólnienie (abstrahując

⁹ Ibidem, s. 121.

w tym momencie od całego spektrum pojęcia terroryzmu, dużo bardziej złożonego) zdaje się nie do końca odzwierciedlać motywów działań islamskiego terroryzmu. Bynajmniej nie Europa rozszerzyła terrorystów swoim zaangażowaniem na Bliskim Wschodzie, jako że przestała już upatrywać w tamtejszym regionie swojej strefy wpływów. Zupełnie inaczej przedstawia się pozycja Stanów Zjednoczonych, żywo zainteresowanych regionem Bliskiego Wschodu (doktryna Cartera), a przy tym aktywnie wspierających Izrael (co, rzecz jasna, nie jest dobrze odbierane w krajach arabskich). World Trade Center nie było zatem przypadkowo wybranym symbolem, który równie dobrze mógłby zostać zastąpiony np. wieżą Eiffla w Paryżu. WTC stanowiło bardzo konkretny cel – jednoznacznie wskazujący na Stany Zjednoczone jako głównego wroga.

Rozszerzenie poczucia zagrożenia terroryzmem na obszar Europy jest w dużym stopniu efektem retoryki Stanów Zjednoczonych. Odwołanie się do wspólnoty wartości Świata Zachodu miało zapewnić poparcie dla działań USA i zwiększyć zaangażowanie europejskich sojuszników z NATO. Nie przeczę w tym miejscu, że działania fundamentalistów islamskich nie były w żadnym stopniu motywowane hasłem walki ze Światem Zachodu. Zwracam tylko uwagę, że terroryści pojęcie *Zachodu* wiążą raczej ze Stanami Zjednoczonymi niż np. ze Szwecją. Z tego samego powodu zamachy w Londynie (2005) czy w Madrycie (2004) były spowodowane głównie zaangażowaniem tych państw w działania koalicji antyterrorystycznej pod egidą Stanów Zjednoczonych.

Istotne jest jednak rozstrzygnięcie, w jakim stopniu zagrożenie terroryzmem wpływa na poczucie bezpieczeństwa Europejczyków. Wydaje się, że lęk przed terroryzmem ma charakter raczej deklaracyjny i nie jest związany z rzeczywistymi obawami. Oczywiście, nie oznacza to zupełnego bagatelizowania zagrożenia – świadomość zagrożenia istnieje, utrzymuje się jednak na umiarkowanym poziomie. Deklaratywność leku przed terroryzmem ma dwa wymiary. Z jednej strony przejawia się ona w twierdzącej odpowiedzi na przykładowe pytanie sondażowe: „Czy boisz się ataków terrorystycznych?”, co jest konsekwencją uzupełnienia katalogu potencjalnych zagrożeń o kolejną pozycję. W wydatnym stopniu przyczyniło się do tego nagłośnienie medialne, towarzyszące wszelkim większym aktom terrorystycznym. Boimy się więc terroryzmu niejako z *zasady*. Skoro to może spotkać każdego, to dotyczy także mnie. Z drugiej strony, charakterystyczna jest tendencja do *chuchania na zimne*. Najprostszym

przykładem są coraz bardziej skomplikowane procedury odprawy na lotniskach. Kiedyś wydawało się nie do pomyślenia, że respektowane będą ograniczenia ilości przewożonych płynów do 100 ml czy restrykcyjne kontrole osobiste. Teraz poddawanie się takim procedurom wynika z przezorności (lepiej nie stwarzać okazji terrorystom) i jest powszechnie akceptowane (notabene ciekawe, dlaczego takie obostrzenia dotyczą tylko lotnisk, a nie np. dworców kolejowych czy autobusowych). Poddawanie się swoistym rytuałom zwiększa poczucie bezpieczeństwa.

Znamienny jest ostatni przykład odrzucenia przez Parlament Europejski porozumienia ws. SWIFT zawartego między UE a Stanami Zjednoczonymi (dotyczącego przekazywania USA danych bankowych Europejczyków w imię usprawnienia walki z terroryzmem)¹⁰. Niezależnie od tego, w jakim stopniu uwarunkowane to było rozgrywkami kompetencyjnymi między PE a Radą, ważne jest zaakcentowanie w stanowisku Parlamentu, iż w imię walki z terroryzmem nie można naruszać praw obywatelskich.

Na poziom poczucia bezpieczeństwa wpływ może mieć również stan efektywnego bezpieczeństwa militarnego wówczas, gdy przeświadczenie obywateli o bezpieczeństwie budowane jest w oparciu o wyobrażenie potęgi militarnej. W przypadku Europy, najczęściej kierowanym pod jej adresem zarzutem jest uzależnienie od struktur bezpieczeństwa NATO. Trudno się z tym nie zgodzić. Przez cały okres zimnej wojny siły zbrojne zlokalizowane w Europie Zachodniej stanowiły naturalną równowagę dla Układu Warszawskiego. Obecność wojsk amerykańskich była konsekwencja istnienia układu dwubiegunowego. Zmiana sytuacji po 1989 roku pozostawiła strategiczną próżnię w Europie¹¹ (gdy ZSRR się rozpadł, Stany Zjednoczone ograniczyły zaangażowanie na starym kontynencie). Rzecz jasna, NATO wciąż istniało. Potrzebne było jednak wypracowanie zupełnie nowej formuły jego działania. Jednocześnie w Europie ponownie powróciły (wcale nie nowe przecież) idee uniezależnienia obronnego od NATO (w domyśle Ameryki). Sztandarowym projektem związanym z tymi tendencjami była Unia Zachodnioeuropejska (UZE).

¹⁰ <http://wiadomosci.gazeta.pl/>, 8.02.2010.

¹¹ K. P. Klaiber, *Europejska Tożsamość w Dziedzinie Bezpieczeństwa i Obrony (ESDI) a przyszłość NATO*, przemówienie wygłoszone w Centrum Stosunków Międzynarodowych, 25.01.2001, s. 5.

Problem z UZE polega na tym, że jest nie tylko *Śpiącą Królowką*¹², ale też *niechcianą siostrą* NATO – iluzorycznym tworem, który raczej miał stanowić potencjalną alternatywę dla NATO niż rzeczywistą próbę budowania europejskiego bezpieczeństwa. Niewiele można zatem powiedzieć o wkładzie UZE w europejski system bezpieczeństwa poza tym, że stanowiła forum koordynujące europejski filar Sojuszu Północnoatlantyckiego.

Niefrasobliwość UZE (czy innych prób budowy europejskich struktur bezpieczeństwa) mogłaby rozbudzić poczucie lęku wywołane wątpliwościami, co do efektywnego potencjału militarnego. Nie dzieje się tak jednak, bowiem Europa jest zabezpieczona systemem swoich sojuszy (NATO), a przede wszystkim nie istnieje groźba agresji zbrojnej. Zbudowany system bezpieczeństwa kooperatywnego zdaje jak dotychczas egzamin. Sytuacja na Bałkanach sprawia wrażenie ustabilizowanej (przynajmniej na tyle, żeby ryzyko ewentualnej konfrontacji zbrojnej można było uznać za minimalne), natomiast *śpiący na wschodzie niedźwiedź* śni o potędze, ale póki co nic destrukcyjnego dla Europy nie powinno z tego wynikać.

DEFICYT IDEOLOGII

„EUROPA ZASADZA SIĘ NA WSPÓLNYM POJMOWANIU WARTOŚCI” – stwierdziła kanclerz Angela Merkel na początku niemieckiego Przewodnictwa w Radzie¹³. Problemem jednak jest zidentyfikowanie tych wartości. Rzecz jasna, można od razu jednym tchem wymieniwać: tradycje antyczne, dorobek chrześcijaństwa i prawo rzymskie, lecz stanowią one raczej rodzaj zakorzenia historycznego niż konglomeratu poglądów, odnoszących się do istoty współczesnego świata. Można zatem doznać wrażenia, że we współczesnej Europie, gdzie partie lewicowe niewiele różnią się od partii prawicowych, a wielkie dyskusje społeczne prowadzone są nieczęsto (a jeżeli już, to co najwyżej na łamach gazet), ideologie stały się anachronizmem.

Trudno mówić o ideologicznym rozpaleniu w Europie, gdzie jakiegokolwiek większe demonstracje mają miejsce jedynie w kontekście szczytów G8 i towarzyszących im protestów alterglobalistów. Zresztą, warunkiem zaistnienia tego typu demonstracji na dużą skalę jest

¹² C. Jean, *Geopolityka*, Wrocław 2003, s. 298.

¹³ R. Schweppe, *Prezydencja niemiecka a stan debaty o reformie Unii Europejskiej*, [w:] *Prezydencja niemiecka a stan debaty o reformie Unii Europejskiej. Aspekty polityczno-prawne*, red. J. Barcz, Warszawa 2007, s. 29.

zaktywizowanie alterglobalistów z kilkudziesięciu krajów, a nierzadko z kilku kontynentów. Sprawy rodzące mniejsze konotacje emocjonalne (gdy nie można już powoływać się na groźbę zagłady świata w wyniku szaleńczej pogoni kapitalistów za zyskiem), spotykają się z dużo mniejszym odzewem społecznym. Strajki czy demonstracje w obronie praw pracowniczych angażują już co najwyżej grupy związków zawodowych.

Wrażenie braku ideologii w Europie ulega jeszcze wzmocnieniu, gdy dokonamy porównania ze światem islamu, stanowiącym współcześnie ośrodek prawdopodobnie najbardziej nasycony ideologiami. Ciężko bowiem o wykazanie większego poświęcenia dla sprawy niż gotowość poniesienia śmierci w imię poglądów (na co nierzadko gotowi są przecież islamscy fundamentaliści). Swoją drogą, ciekawe jest, że oglądając relacje z demonstracji/rozmachów na Bliskim Wschodzie, zawsze można zobaczyć tłum ludzi, jak gdyby demonstrowanie na ulicach było ich głównym zajęciem.

Jednak jeżeli spojrzeć na Europę z perspektywy nieco bardziej historycznej, można się przekonać, że w XX wieku kontynent był wręcz *targany* ideologiami, o czym świadczą dwa wielkie totalitaryzmy, szereg mniejszych ideologii tworzonych na potrzeby innych dyktatur, akcje RAF-u, czy Czerwonych Brygad. Może dlatego po okresie Jesieni Narodów w 1989 r. – gdy Europa znowu zaczęła szukać stabilizacji – zubożenie w kwestiach ideologicznych zaczęło jawić się jako naturalny mechanizm kompensacyjny (o ile w kontekście cywilizacji można mówić o procesach psychicznych). Odejście od problematyki ideologii umożliwiło mieszkańcom Europy poświęcenie całej energii na rzecz budowania indywidualnego szczęścia. Możliwe stało się przejście do epoki postmodernizmu, która według Fredrica Jamesona stanowi „kulturową logikę kapitalizmu”¹⁴. Jeżeli natomiast w świecie zachodnim ukonstytuowało się przekonanie (mniej lub bardziej słuszne), że kapitalizm jest najlepszą możliwością dla państw demokratycznych, postmodernizm staje się koniecznym uzupełnieniem.

PODSUMOWANIE

PRÓBA KRYTYCZNEGO OPISANIA czterech deficytów, reprezentujących potencjalne obszary słabości cywilizacji europejskiej, miała doprowadzić do odpowiedzi na pytanie zawarte w tytule artykułu: czy Europa jest

¹⁴ G. Ritzer, *Makdonaldyzacja społeczeństwa. Wydanie na nowy wiek*, Warszawa 2005, s. 312.

skończona? Cały paradoks tego pytania wynika z dwuznaczności pojęcia *skończona*, które z jednej strony można rozumieć jako *pozbawiona przyszłości*, ale równie dobrze jako *kompletna, zupełna*. Wydaje się, że pomimo wszystkich swoich słabości, Europie bliżej obecnie do tego drugiego znaczenia. Można nawet zaryzykować tezę, że postulowany przez Fukuyamę *koniec historii* dokonał się w ograniczonym zakresie na obszarze Europy i póki co nie istnieje ryzyko zamiany tej sytuacji. Wszystkie cztery przywołane deficyty można bowiem rozpatrywać równie dobrze jako potencjalne szanse.

Trudności gospodarcze, zapóźnienie w stosunku do USA i dużo niższe tempo wzrostu PKB niż państw dynamicznie rozwijających się (BRIC) – to wszystko jest rzeczywiście prawdą. Jednakże korzyścią po stronie Europy jest jej stosunkowo wysoki wskaźnik osiągniętego rozwoju gospodarczego. Nie musimy równać do świata – to świat równa do nas. Istniejące wewnątrz Europy dysproporcje są problemem wciąż do rozwiązania, aczkolwiek porównując ich skalę do rozpiętości istniejących na świecie, zestawienie wypada wciąż na korzyść Europy.

Różne jest także europejskie podejście mentalne. Prawdopodobnie nigdy nie zdołamy osiągnąć wskaźników wydajności Stanów Zjednoczonych, ale nie wynika to z ułomności naszych pracowników, lecz z pojmowania czasu wolnego jako wartości. Goniąc za wskaźnikami, można uczynić społeczeństwo bogatym, ale z pewnością łatwo też pozbawić ludzi możliwości realizacji aspiracji o charakterze pozazarobkowym (własnych pasji, hobby, czy okazji do budowania głębszych relacji interpersonalnych). Świadomość europejska upatruje w takich sprawach, jak bezpieczeństwo socjalne, bezpłatna opieka zdrowotna czy właśnie wolny czas korzyści płynących dla społeczeństwa, chociaż z perspektywy czysto ekonomicznej jawią się one jako straty. Europejski model społeczny jest zatem próbą zwrócenia uwagi na te sprawy, które pomijane są czasem we wskaźnikach gospodarczych, lecz składają się w wymierny sposób na jakość życia.

Słabość polityczna wynikająca z wątpliwości, co do siły Unii Europejskiej jako gracza na arenie międzynarodowej, jest również sprawą kontrowersyjną. Nie do zaprzeczenia jest fragmentaryzacja potencjału UE, która utrzymywać będzie się tak długo, jak długo nie zacznie efektywnie funkcjonować Wspólna Polityka Zagraniczna i Bezpieczeństwa. Ważne natomiast jest to, aby miała ona charakter powszechny, czyli dotyczyła ogółu stosunków zagranicznych państw Unii. Wybiórczość stosowania (gdym oficjalnie WPZiB funkcjonuje, ale np. każ-

dy w relacjach z Rosją działa na własną rękę) stawia pod znakiem zapytania całą ideę.

Tendencje zmierzające w stronę ujednoczenia i lepszego funkcjonowania struktur Unii Europejskiej są z pewnością kierunkiem słusznym. Jednakże niewłaściwe jest nader emocjonalne reagowanie na każde możliwe niepowodzenie. Martwić się o przetrwanie idei integracji europejskiej można było na samym początku jej kształtowania się, w latach 50-tych. Wówczas każde poważniejsze trudności mogły w wymierny sposób zaszkodzić całemu procesowi. Obecnie Unia Europejska jest tak wieloczynnikową strukturą, że niełatwo sobie wyobrazić, ażeby mogła się rozpaść w krótkim czasie pod wpływem niepowodzenia w ratyfikacji nawet najbardziej istotnego traktatu (mam tu na myśli, rzecz jasna, Traktat Lizboński). Idea integracji tak bardzo zakorzeniła się w świadomości obywateli (choćby przez przyzwyczajenie do swobodnego przejazdu na granicach), że proces ten przekroczył punkt, poza którym nie ma już możliwości zupełnego wycofania się. Natomiast wychodząc z założenia, że jeżeli poczekać wystarczająco długo – wydarzy się wszystko, co jest *możliwe*, uzasadnioną staje się nadzieja, iż zmiany będą szły (mniej lub bardziej opornie) w kierunku ściślejszej współpracy. Właśnie z tego Unia Europejska czerpie swoje główne źródło politycznej siły – ze swojej *możliwości* rozwoju.

Uczestnictwo w Sojuszu Północnoatlantyckim jest podstawowym gwarantem bezpieczeństwa militarnego państw europejskich. Niezależnie od obecnych problemów NATO w Afganistanie, sojusz wciąż pozostaje najsilniejszym układem wojskowym na świecie i trzeba o tym pamiętać. Traktowana często jako zarzut zależność od USA jest bez znaczenia dopóty, dopóki nie pojawią się różnice żywotnych interesów między Stanami Zjednoczonymi a Europą (mam tu na myśli dużo bardziej znaczące rozbieżności niż różnice poglądów, jakie zdarzały się do tej pory). Jeżeli przyjmujemy bowiem założenie, że sojusznikiem czynimy państwo zaufane i nam życzliwe, bez znaczenia jest dominacja jego potęgi militarnej w sytuacji, gdy nie jest skierowana przeciwko nam.

Nie oznacza to bynajmniej, iż interesy USA i Europy są tożsame. Różne są perspektywy postrzegania niebezpieczeństwa¹⁵. Stany Zjednoczone na pierwszym miejscu stawiają walkę z terroryzmem, Europa wydaje się przykładać większe znaczenie do aspektów związanych z niebezpieczeństwem ekologicznym. Różnice w percepcji są jednak naturalne i nie trzeba z tego faktu czynić podstawy do ograniczania

¹⁵ J. Żakowski, *Koniec...*, op. cit., s. 121.

wzajemnych kontaktów czy zamrażania sojuszy. Silne NATO to bezpieczna Europa.

Zaniechanie ideologizowania jest konsekwencją przyjęcia paradygmatu postmodernizmu. Ukierunkowanie na bardziej konsumpcyjny styl życia nie czyni jednak Europejczyków od razu zupełnie wyzbytymi z wartości. Inna jest tylko przyjmowana skala aksjologiczna. Żyjemy bowiem w świecie, gdzie wartością stała się dietetyczna cola – będąca uniwersalnym połączeniem stylu tożsamości wiążanego z marką z hołdem złożonym kultowi szczupłej sylwetki (swego rodzaju współczesna trawestacja maksymy *calos cagatos*).

Jednocześnie niewielkie znaczenie ideologii związane z wpływem postmodernizmu ma raczej pozytywne przełożenie na stosunki społeczne w Europie. Przykładowo, czasami lepiej jest gdy sąsiedzi się nawzajem nie zauważają (postmodernistyczne zblazowanie i ignorancja), niż nienawidzą (ideologiczne zaangażowanie w spór).

Europa faktycznie może być oskarżana o uleganie *mirażowi nieśmiertelności*¹⁶, gdy upatruje w swojej cywilizacji najdoskonalszej formy rozwoju. Wydaje się jednak, że taka ocena nie odbiega daleko od prawdy, a współczesna Unia Europejska jako najpełniejsza forma wyrazu idei integracji europejskiej, jest strukturą *skończoną* – zupełną. Właściwie, można dojść do przeświadczenia, że pytaniem nie jest: „Czy Europa się kończy”, ale raczej: „Co, kiedy i czy w ogóle cokolwiek nastanie po niej?”

SUMMARY

THE NOTION OF 'EUROPE' is commonly associated with the European Union. This tendency reflects the importance of the EU on the international political arena. However, despite being such a power, the European Union is not always able to tackle all difficulties it faces, including the so-called 'four deficiencies': economic, political management, sense of security and ideology. The main question this paper has attempted to answer was the way the word 'finite' should be understood: as 'without future' or rather 'perfect'.

¹⁶ S. P. Huntington, *Zderzenie cywilizacji i nowy kształt ładu światowego*, Warszawa 2008, s. 531.

NOTA O AUTORZE

Jędrzej Napieralski [jędrzej_napieralski@o2.pl] – student II roku stosunków międzynarodowych na Wydziale Nauk Politycznych i Dziennikarstwa UAM oraz I roku prawa na Wydziale Prawa i Administracji UAM. Obszar zainteresowań: marketing polityczny.